

Władysław Terlecki

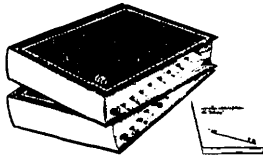
Brulion

Palestra 38/7-8(439-440), 145-147

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Władysław TERLECKIEGO BRULION

Upalny dzień 12 sierpnia 1876 roku. Pociąg z Krakowa do Warszawy zatrzymuje się na granicznej stacji w Trzebini. Służba kolejowa, żandarmeria. Pasażerowi, który w przedziale pierwszej klasy przygląda się, jak pociąg wtacza się na otoczony żołďactwem peron, widok ów wydaje się znajomy i budzi nieprzyjemny dreszcz oczekiwania.

Kilkanaście lat temu ksiądz Sykstus zaopatrzony w fałszywe dokumenty przekraczał granicę. Żył potem w wielu krajach europejskich w roli politycznego uchodźcy. Podróżował nawet do obu Ameryk. Zakosztował poczucia bezpieczeństwa w takich przynajmniej wymiarach, jakie dostępne były polskim uciekinierom.

Na peronie żołdaci w mundurach przypominający tamtych w Warszawie z czasu styczniowej insurekcji. Okrzyki i gwizdki towarzyszące odtaczanej na boczny tor lokomotywie – to wszystko każe myśleć, że powrót stał się oto realnym faktem. To nie są majaki z jakiegoś zaczynającego się koszmarne go snu. Zaprzyjaźniony ksiądz, odprowadzający go w Krakowie na dworzec, raz jeszcze usiłował przekonać księdza Sykstusa, żeby zaniechał powrotu. Żadnych gwarancji otrzymanych od urzędników zagranicznych placówek rosyjskich – utrzymywał – nie należy traktować poważnie... Podróżny z niezmaconym spokojem odpowiadał, że to właśnie jest jego obecny obowiązek. Czasy się zmieniły. Pobyt na emigracji nie ma sensu. Emigracja stała się politycznym błędem. On sam mógł się przyjrzeć w ostatnich latach temu kłębowskiemu żmij. Tam już

nikt nie dba o interes nieszczęśliwego kraju. Toczą się tylko ciągłe wojny podjazdowe i trwają wieczne spory. Polski diabeł sieje niezgodę i nienawiść. Jest pewny, że taki bywa nieuchronny los każdej emigracji politycznej przetrawiającej swoją kłęskę. Ależ Sykstusie! – perswaduje ksiądz z Krakowa – dla Moskali powrót twój to okazja do odwetu. Nie wolno wierzyć żadnym zapewnieniom Szuwałowa. Dla nich ciągle jeszcze jesteś członkiem powstańczego rządu, z którym rosyjska sprawiedliwość nie rozliczyła się do tej pory. Ale ksiądz Sykstus – bo taki nosił pseudonim jako członek narodowej władzy w czasie powstania – utrzymuje, że raz na zawsze należy skończyć z wiecznymi deklaracjami nienawiści. Pora natomiast szukać dróg powrotu.

Kiedy pociąg rusza w kierunku Warszawy, ksiądz Sykstus czuje jednak niepokój. Przypominają mu się różne obrazy z przeszłości, w której odgrywał ważną polityczną rolę. Należał wtedy do sporej gromady radykalnie nastawionych młodych kapłanów, wzywających naród do podjęcia zbrojnej walki z zaborcą. Gromił opieszałość i kunktatorstwo hierarchii kościelnej, która w poprzedzających tamten wybuch miesiącach usiłowała godzić rewolucyjny płomień ze święconą wodą. Arcybiskup Feliński targany wątpliwościami nie mógł popierać przygotowań do zbrojnego wystąpienia przeciw zaborcy, ale nie mógł też deklorować współpracy ze znieprawionym margrabią, realizującym rosyjską rację stanu. Watykan ostrzegał przezornie, aby nie podgrzewać nastrojów, bo

kuria rzymska gotowała się właśnie do poprawy politycznych stosunków z carem. Polska ruchawka postawiłaby rzymskich polityków w bardzo niezręcznej sytuacji. Po upadku powstania, kiedy ksiądz Sykstus przedostał się szczęśliwie za granicę, otarł się o przedstonki watykańskiej dyplomacji. Wysłał nawet dwa surowe listy do papieża, ostrzegające go przed zgubnymi skutkami gry politycznej, którą Watykan prowadzi na Wschodzie. Było to jeszcze co prawda przed uchwaleniem dogmatu o nieomyślności papieskiej. Ksiądz Sykstus wbrew kanonicznym nakazom zawsze narażał się duchownym zwierzchnikom. Najpierw arcybiskupowi Felińskiemu, a potem rzymskim urzędom. Bardzo mu się zresztą ten Rzym kościelny nie podobał.

Pobyt na emigracji, liczne podróże, agitacje polityczne za sprawą polską w tak egzotycznych krajach, jak Portugalia czy Ameryka Południowa, ale nade wszystko europejskie skupiska polskich niedobitków, przyczyniły się wreszcie do zmiany poglądów byłego członka radykalnych władz powstańczych. Ksiądz Sykstus staje się oto pewnego dnia wyznawcą idei słowianofilskich. A mówiąc po prostu – imperialnych interesów państwa carskiego. Wstępuje na drogę zdrady. W swoich kontaktach z dyplomacją carską w Paryżu oświadcza, że „Polska pod panowaniem rosyjskim zostająca, moim głębokim przekonaniem, zachowała w sobie najwięcej pierwiastków ożywczych i odradzających... Rosja gdyby chciała wejść na drogę ustępstw, gdyby chciała zrozumieć swój interes, interes Słowiańszczyzny i Polski, nam, Polakom usiłującym swoją Ojczyznę, sympatyzującą z niedolą ludów pobratymczych, Słowian, nie

wypadałoby jak tylko iść z nią wspólnie”.

Grzeczni i dobrze wychowani dyplomaci słuchają tego nieskładnego bredzenia księdza Sykstusa z uprzejmym uśmiechem. Sykstus proponuje im, aby założyć Towarzystwo Polsko-Rusko-Słowiańskie, „do którego wstęp miałby każdy Rosjanin i Polak bez różnicy stanu, płci i przekonań politycznych, społecznych czy religijnych, skoro przyjęto główną zasadę – potrzebę łączenia się węzłem nierozzerwalnym narodu polskiego z narodem rosyjskim przez uznanie władzy cesarzów rosyjskich”. Deklaruje chęć powrotu do Warszawy, aby stać się tam rzecznikiem nowego ładu. W Paryżu i Petersburgu wiedzą dobrze, jaką odgrywał rolę w niedawno stłumionym buncie polskim. Hrabia Szuwałow poprzez swoich urzędników daje mu do zrozumienia, że powrót nawróconego kapłana mile będzie przez władze widziany.

Z tymi więc gwarancjami podróży wjeżdża na graniczną stację w Trzebinii. Rutynowa, ale dokładna kontrola graniczna. Sykstus wraz ze swoją ciężką torbą podrózną zostaje wyciągnięty z wagonu. Przez kilka godzin pilnuje go żandarm w jakiejś kolejowej komórce. Aż do chwili, gdy telegraf wystuka stosowną instrukcję. Sykstus chciałby może, aby odesłano go z powrotem do Krakowa, ale marzenie to już się nie spełni. Pod eskortą następnym pociągiem zostaje odesłany do Warszawy. Członek narodowego rządu wraca na stare śmieci... Dostępne po drodze drobnej łaski. Przekupiony zapewne żandarm pozwala mu wstąpić do kościoła św. Aleksandra, gdzie był przed powstaniem wikarym. Poznaje go tam kilka dawnych peniten-

tek. Całowany po rękach zostaje wraz z żandarmem zaprowadzony do dorożki i łąduje w X Pawilonie Cytadeli Aleksandryjskiej, której przed laty nie miał sposobności bliżej poznać. Co za upiorna niespodzianka! Bierze go w swoje obroty prezes Komisji Śledczej – Ustymowicz. Poleca napisać obszerne *curriculum vitae*. Czasu będzie miał książd sporo i nie będzie się musiał spieszyć. Byle pisać dokładnie. Inny zaś policyjny dygnitarz pokazuje obszerne tomy zeznań byłego rządowego kolegi – Oskara Awejdego, który wcześniej opisał wszystko dokładnie i szczegółowo, z nazwiskami i datami, za co też został nagrodzony przez władze uwolnieniem od kary. Kto wie, może i książd Sykstus, jeśli się postara, dopracuje się podobnej łaski.

Wstrząśnięty wszystkimi tymi perypetiami słowianofil śle prośby do cara. „Piszac prośbę do Jego Cesarskiej Mości – żali się w X Pawilonie – wyrażając w niej życzenie powrotu do Polski, jeśli Jego Cesarska Mość raczy mi przebaczyć swoją przeszłość, ja miałem, jak i zawsze mam po powrocie do kraju, jedyny cel, być pożytecznym członkiem społeczności, nic nie robić przeciwnego z widokami rządu i tym samym być wiernym poddanym Jego Cesarskiej Mości. Jest to paradygmat mego postępowania...”

Paradygmat postępowania rządu jest inny. Eskortowany przez oficera żandarmerii Andriejewa, książd Sykstus

15 kwietnia 1874 roku koleją żelazną z dworca praskiego w towarzystwie kryminalistów udających się na zsyłkę odjeżdża do Petersburga. Kara nie jest zbyt surowa, bo na osiedlenie wyznaczono nie Sybir, a miejscowość Czerepowiec w guberni nowgorodzkiej. Nie pomogły więc składane na piśmie zapewnienia, że „mam wiele rzeczy do wyjaśnienia i dodania do moich zeznań dokonanych przed Komisją Śledczą, które, spodziewam się, przyczynią się do mego usprawiedliwienia. Śmiem pokornie prosić Waszą Ekscelencję o udzielenie mi tej łaski”. Nici z wszystkich tak pięknych politycznych projektów. Nie będzie pisma słowianofilów „La Slavie”, które chciał wydawać, ani Towarzystwa Przyjaźni. Dobrze przynajmniej, że oferta ta nie skończyła się dla księdza Sykstusa stryczkiem. Kilkanaście lat wcześniej byłyby to realna zapłata za udział w spisku.

Takie są koleje zdrady. I taka też bywa niekiedy za nią zapłata. Książd Sykstus ma jednak pewną zasługę. Pozostawił po sobie pamiętniki, z których wiedzę o powstaniu czerpało wielu polskich historyków. Ale winy z pewnością nie okupił. Dzieje Sykstusa może uzupełniać widmo szubienicy, na której powieszono innego kapłana. Musiał i on, Sykstus, słyszeć o Piotrze Ściegiennym. Kto wie, czy czasami nie przesuwiała mu się przed oczyma tamta postać w obszarpanej sutannie.